

ANIOŁ STRÓŻ.

Rada.

Chcecie wiedzieć drogie dzieci
Jak najprędzej czas wam zleci?
Jak bez cacek, bez igraszek,
Dzień przefrunie niby ptaszek?

Nie trawcie go jak próżniacy
Pospuszczawszy w nudach noski,
Lecz pomóżcie starszym w pracy,
B e życie życiem wioski!

Patrzaj tylko, mój Tadzieńku,
Jak Piotr idzie pomaleńku,
Jak za sobą wlecze nogi,
Jak go męczy kaszel srogi.

Jak to dyszy, jak to stęka,
Jak to z dzbankiem drży mu ręka,
Choć w nim tylko trochę wody
Niesie sobie dla ochłody.

Dalej, rażno skocz, kochanie,
Nic ci złego się nie stanie!
Pomóż dźwigać dzban starcowi,
A on ci „Bóg zapłać” powie.

Widzisz Wandziu, Małgorzate.
Jak to w kaftan wszywa łatę:
Jak nie trafia nić do uszka...
Niedowidzi już staruszka.

Nawlecz igłę starowinie!
Siwą głowę tobie skinię,
I wyszeptaj cicho, cienko:
— „O, Bóg zapłać ci, panienko“:

W czym kto może, niech posłuży:
Mały — w małym; w dużym duży;
A za pomoc dla współbraci
Bóg wam cichym snem zapłaci.

M. Konopnicka.



Mały łakomec.

Był to raz chłopczyk bardzo łakomy. Nigdy mu nie starczyło to, co mama położyła na jego talerzu, czy to przy śniadaniu, czy przy obiedzie, lub wiececzy. Mama wiedziała przecie, ile dzieci jeść potrzebują, nie chciała, żeby synek był głodny, ale obawiała się, aby znów nie zachorował, najadłszy się bez miary.

Lecz Marcinek najwięcej zwykle napierał się potraw niezdrowych, takich co dzieciom bardzo zaszkodzić mogą, a najlepszych rzeczy

znów jeść nie chciał. Krzywił noskiem na dobry rosół, na mleko na mięso, za to jak podano słodką leguminę, gotówby był pochłonać cały półmisek. Legumina zapewne jest smaczna, i nie szkodzi, jeżeli się je w miarę, po zupie i mięsie, Marcinek chciał koniecznie samą leguminę pakować, póty, póki go aż dusić nie zaczęło.

Mama wprawdzie nie zważała na grymasy i nie dawała tyle, ile chciał, ale nas żarłok umiał czasem i sam dobrać się do półmiska po obiedzie, gdy wszyscy się rozeszli, a służąca nie sprzątnęła jeszcze ze stołu.

Raz właśnie tak się zdarzyło, że wgrał się na wysokie krzesło i jak się zwinął do półmiska, zmiotł wszystko co do okruszyny a nasz żarłok uraczył się porządnie.

Wtem drzwi skrzypnęły, ocknął się Marcinek, spojrzął i przestraszył go ogarnął. Dwie jakieś potworne okropne istoty weszły do pokoju i prosto ku niemu zamierzały. Ogromny, dwa razy większy od Marcinka kot bury, trzymał pod ręką równie dużego i strasznego puszczyka. Oba te potwory miały oczy przenikliwe, błyszczące, jak węgle rozpalone, a patrzyły niemi na chłopczyka, jakoby go chciały połknąć.

— Kolego — odezwał się kot do puszczyka — trzeba tu wziąć się dobrze do tego pacyenta. Zapiszemy zaraz receptę, olej rycynowy, potem gorzkie ziółeczka i dyeta, przede wszystkim dyeta i w łódeczku poleżeć musi z tydzień.

— Tak, tak szanowny kolego — odpowiedział puszczyk głosem ponurym — trzeba mu postawić na brzuszku z sześć pijaweczek. Niech dobrze popamięta tę leguminę.

— I tak uchodziło mu już długo bezkarnie, — dodał kot, — ale teraz weźmiemy, nie zapomni on prędko tej leguminy. Czy masz kolego przy sobie pijawki?

— Mam, mam — mówił puszczyk i oba potwory stanęły tuż przy krzeselku Marcinka, wyciągając do niego straszne swoje łapy, w pazury potężne uzbrojone.

Biedny chłopczyzna krzyknął w niebogłosy, wołając ratunku.

Na szczęście wbiegła mama, przerażona wrzaskiem przeraźliwym Marcinka, za nią szedł ojciec, a za ojcem i goście.

— Co się stało? — pytała mama, biorąc synka na ręce. Nie mogła zrozumieć, czego tak okropnie krzyczał; przecież nie spadł z krzeselka, nie skaleczył się, żadne nieszczęście mu się nie przytrafiło zdrów był i cały.

Marcinek tymczasem ze strachem oglądał się na wszystkie strony, szukając oczyma okropnych lekarzy, co mu grozili pijawkami, ol-jem rycynowym i innymi lekami. Darmo

jednak zaglądał po kątach, ani kota ani puszczyka nie było nigdzie, obaj znikli bez śladu.

Chłopczyzna drżący cały zaczął opowiadać mamie o tych okropnościach, ona zrazu zrozumieć nie mogła, w końcu jednak, gdy obaczyła półśmiesek próżny, domyśliła się, co to było. Marciniek się zdrzemnął, a ponieważ żołądek miał strasznie przeładowany, więc sen jego był bardzo niespokojny, dręczyły go mary, przyśniło mu się po prostu, że widział przed sobą te potwory.

Wielki to wstyd był, nie tylko dla Marcinka, ale i dla biednej mamy, bo goście przytem byli obecni i musiano im wytłómaczyć całą tę sprawę. Chłopczyk szczerze przyrzekał mamie, że się już odtąd wystrzeżeć będzie żarłocstwa.



Sanna.

Już od rana z nieba leci
Fala śniegu nieustanna,
W dłoń radośnie klaszczą dzieci:
„Będzie sanna, będzie sanna!”

Hej, Macieju, biegnij żywo,
Zaprzęż siwka do saneczek,
Zaprzęż siwka z białą grzywą
I do szyi daj dzwoneczek.

Z wiatrem pomknie koń w zawody,
Polecimy śnieżną niwą,
Zarumienia się jagody (lica),
I uderzą serca żywo!”

Sanki zaszły przed przysionek,
Szczery śmiech dziecięcy płynie,
Miesza się z nim srebrny dzwonek,
Popędzili po równinie.



Chciwy pies.

Wpadł Neruś do kuchni, gdy kucharki nie było, porwał spory kęs mięsa i pobiegł do ogrodu, aby przysmaczek zjeść w spokoju. Idzie Neruś nad wodą i nagle staje zadziwiony. Spozstrzega w wodzie psa do siebie zupełnie podobnego i nosącego taki sam kawałek mięsa.

— Ho, ho! — myśli Neruś — to jakiś obcy pies; mięso, które ma w pysku, wygląda bardzo smacznie. Odbiorę mu, a będę miał dwa kawałki na śniadanie! Pochylił się nad strumieniem. Tamten pies również zbliżył się lecz mięsa oddać nie myśli.

— Wrrr... — zawarczał Neruś — oddaj mi mięso... nie oddasz? Zaraz cię zębami poczęstuję... oddaj... ham, ham. Tu szczeknął,

lecz gdy tylko pysk otworzył, mięso wpadło w wodę i utonęło.

Dopiero teraz przekonał się, iż ten drugi pies był jego własnym w wodzie odbiciem!

Chciwy wyżeł i drugiego kawałka mięsa nie dostał i swój własny utracił.



ZARCIKI.

Kot i wilk.

Urągał kot wilkowi, jak jaki oszezerca.

Ze względem swoich ofiar nadto jest bez serca.

Na to wilk: — Któż z nas serce ma dzisiaj

[nie zgłazu?

Ty się bawisz, nim zdusisz, ja duszę odrazu.

Genialny tate.

Mojsie! Co ty się dzisiaj uczył w szkole,
— pyta tate swojego synka. — Taki pinkne
wirsze od pana Wincenty Pol, co to wszystkie
polskie dzieci muszą umieć na pamięcz. —
No, to powiedz mi te wirsze.

Mojsie deklamuje: „Patrz, Maryacka wie-
ża stoi... — Aj waj! — przerywa mu tate. —
Jakie to głupie te polskie wirsze! Co to ta-
kiego dzywnego, że ona „stoi?” Czy ona ma
„leżyć?” albo „skakać?”

Na drodze.

- Zkądście wy?
- Z Kasowa!
- Ka jedziecie?
- Do Krakowa!
- Weźcie mię!
- Siła docie?
- Ceski!
- Wio siwo!
- Prrr, staniście ino!
- Prrr, siwo!
- I cygara wom kupię!
- Wio, siw...
- I kielusek araku.

— Weźta babo maślonkę na pszodek,
niek se chop siednie, bo go skoda!

Nasze dzieci.

Wnuczek: Opowiedz mi, dziaduniu, jaką
piękną bajkę.

Dziadzio: A o czym kochanku?

Wnuczek: O grzecznym chłopczyku, któ-
ry miał dobrego dziadunia i dostał od niego
dużo, dużo cukierków.

ANIOŁ STRÓŻ.

O celu polaka.

Polaka celem:

Skrucha przed Bogiem,
Mir z przyjacielem,
A walka z wrogiem.
Cześć dla siwizny,
Czyste sumienie,
Miłość ojczyzny
I poświęcenie.
Oddać krew własną,
Dla dobrej sprawy,
Zacnie i jasno
Dążyć do sławy.
Sklądać na progu
Gniew i urazy,
Mieć ufność w Bogu,
I żyć bez skazy.



A było to w noc przed samym Nowym Rokiem.

Adamek, niebożatko, szedł przez las. A śnieg padał przez cały dzień i drogi w lesie poginęły. A miesiaczek na nowiu świecił, jakby zaspany i nie długo miał zapaść za borem. A śnieg był chudziaczkowi Adamkowi po kolana i ciężka to była droga. Ręce mu przemarziły, czerwone jak kraszanki i po całym cieple mróz łaził i szczypał i gryzł.

A naokółsko ani żywej duszy, ani ptaszek się nie ozwał, ani zwierz nie zamruczała. Aż tu nagle między drzewami zamigotało światło.

Złakł się Adamek, nieboraczek, bo pomyślał, że to ślepie wilkowe.

— Matko Boska! nadeszła moja ostatnia godzina! — wyszeptał. Ale uciekać nie mógł, bo śniegi był po kolana, a on miał skostniałe nogi. Ale nie to były ślepie wilkowe, tylko blask od latarki, którą niośł wysoki, stary, ciemno ubrany człowiek. A jak człowiek zobaczył Adamka, to przystanął i zapytał:

— Dokądże to idziesz, chłopaku!

— O, Matko Boska, nadeszła moja ostatnia godzina — wyszeptał znowu Adamek — bo pomyślał, że to zbójca, i mocniej zacisnął w skostniałej ręce mały srebrny pieniążek. Ale uciekać nie mógł, bo śnieg był po kolana, a on miał skostniałe nogi.

— A dokądże to idziesz, chłopaku? — zapytał go znowu wysoki, stary, ciemno ubrany człowiek i zaświecił mu latarką w oczy.

Adamek przymknął swoje duże niebieskie ślepki i wypowiedział co tchu, przestępując z nogi na nogę:

— Idę do miasteczka, do apteki, bo tatuło chory bardzo. Mam tu srebrny złoty na lekarstwo. Nie odbierajcie mi go, panie, jeśli jesteście jaki wielki rozbójca.

— Tak, ja jestem wielki rozbójca — odpowiedział wysoki człowiek, ale, jeśli mi oddasz buty, czapkę i sukmanę... to ci twego pieniążka nie zabiorę.

Adamek nie odpowiedział, tylko drżąc wszystkim, oparł się plecami o sosenkę, ściągnął jeden but, a potem drugi i oddał go człowiekowi. A potem zdjął Adamek sukmanę i został tylko w koszulini. A najbardziej to mu żal było ciepłej, barankowej czapki, ale i to ściągnął z głowy i oddał staremu. Teraz przejął go mróz do szpiku kości.

— Ano, dolecę jakoś do miasteczka — myślał sobie — a tam się u chrzestnej ogrzeję.

Raptem załopotało coś w powietrzu i góra nad sosnami nadleciał wielki srebrny ptak, a na tym ptaku siedział taki, jak Adamek, chłopak, ubrany w bielusińską sukmanę.

Jak tego chłopaka stary człowiek zobaczył, to rzucił na ziemię odzienie Adamkowi i począł co tchu uciekać, a jasny chłopak zszedł z ptaka i krzyknął na to człeczysko:

— Już ci to niedługo wojować! już ci się latarka dopala!

A potem podał Adamkowi jego przyodziewek i powiedział:

— Nakładaj sukmanę i wracaj do chałupy, bo już twój tatuło ozdrowiał i lekarstwa nie trzeba, a tu masz na pamiątkę ten worek.

I wsiadł znowu jasny chłopak na srebrnego ptaka, załopotało w powietrzu i znikło wszystko za ciemnymi sosnami.

Puścił się Adamek do domu co tchu.

Wpada do izby, a jego tatuło zdrówusienki, miske klusków zajada, co mu je matka zgotowali.

Opowiedział Adamek o swojej przygodzie zaglądają wszyscy troje do worka, a tam same szczere dukaty.

Porwał się ojciec Adamka z ławy.

— Szczęśliwy ty, szczęśliwy! — zawołał. — Toż to był sam Święty Nowy Rok — ten chłopak, a ten wysoki człowiek, to był zły rok stary. Ale to nie każdemu zdarzy się sam św. Nowy Rok spotkać, zanim się on zepsuje i zestarzeje.



Bałwan ze śniegu.

Dalej chłopcy do roboty,
Spadło śniegu po kolana,
Żywo zganiać go rękami —
Ulepimy wnet bałwana!

Popychajcie bryłę śniegu,
Niech się żywo naprzód toczy,
Z drugiej mniejszej będzie głowa
A z kawałków węgla — oczy.

Kożuch na nim gruby, biały,
Na kamyki zapinany,
Natrzyjcie mu twarz burakiem,
Niechaj będzie dziad rumiany!

Zwijcie czapkę mu ze słomy,
Niech kij tęgi w garści trzyma —
Jak to patrzy! jakby mówił:
„Jam tu panem, póki zima!”

To też tylko przez czas mrozu
Będzie jego panowanie,
Bo niech tylko wróci wiosna,
Śladu z niego nie zostanie!



Litościwa Marynia.

Marynia idąc z Mamą na przechadzkę zna lazła w krzakach małego kotka, piszczącego żałośnie. Mały był, brudny i bardzo chudy, widać nie miał opieki. Marynia miała dobre serce, i kocha bardzo zwierzęta. Poprosiła grzecznie Mamę, aby jej pozwoliła wzięść biedne zwierzątko, a Mama z litości pozwoliła. I oto Marynia zawinęła kotka w czystą chusteczkę, żeby jej płaszczyka nie pobrudził i zabrała go do domu. Kotek po wypiciu ciepłego mleka rozgrzany i zadowolony usiadł przy ciepłym piecu, a małeńki Staś głaskał go i bardzo mu się cieszył.

Wśród dobrych państwa i miłych dzieci w cieplej kuchni kotek niedługo stał się okrągłym, tłustym i pocieszne robił figle. Dzieci miały z niego wiele radości, a Mama mówiła, że to nagroda ich litości i dobroci.

Dobry człowiek lituje się nad zwierzętami.



Wilk i skrzypek pijany.

Pewien pijany skrzypek, wracając w nocy z karczmy przez bór, wpadł w wilczy dół. Tak się nieborak przeląkł, że naraz wytrzeźwiał. Ale mało mu strachu nie umarł, gdy w tym samym dole poczuł wilk wyć i skakać. Złął się skrzypek — złął się wilk. Czem się tu bronić? Poszedł skrzypek po rozum do głowy: jak nie pocznie grać, a grać! Zdziwiony wilk straszliwie wyśpiewuje i wyskakuje. Odezwały się wszystkie wilki w boru, a od tej straszliwej muzyki, aż się gałęzie na drzewach trzęsą, a skrzypkowi włosy na głowie stają. Ale gra precz. Wtem pęka mu strona; gra na trzech; pęka mu druga; trzecia, i gra już tylko na jednej. Na głos wilka i

muzykę skrzypka przybiegł borowy, wpuścił dwie kulki w piersi wilkowi, a grajka wyciągnął z dołu. Odtąd nigdy on już pijany po nocy nie chodził.



ZARCIKI.

Nasze dzieci.

— Ojciec (do dzieci przy stole): Gdy ja byłem dzieckiem, to zaledwo suchy kawałek chleba miałem, a nigdy tak dobrych potraw.

— Widzisz tatko, przy nas masz lepiej — odrzekł jeden z maleców.

Rozmowa z głuchym.

- Szczęść Boże, chłopie!
- Rów kopię...
- Czyś ty głuch?
- Było nas tu dwóch...
- A gadaj tam kpie z panem.
- Na wieki wieków. Amen.

Zawiedziona przyjaźń.

— Podobno pogniewałeś się z Edkiem, o cóż wam poszło?

— Wyobraź sobie, jaki to był fałszywy przyjaciel: kochaliśmy się obaj w jednej paninie i on dał mi się z nią ożenić.

Ofiara polityki.

- Litościwa osobo, wesprzyjcie ofiarę polityki!
- Za coście siedzieli?
- Sciągnąłem zegarek policyantowi.

U doktora.

- Więc co panu dolega?
- Czuję ogromne drżenie nóg panie doktorze...
- Czy pan nie jesteś czasem kasjerem?

Na farmie.

- Jak się nazywasz, mój mały
- A dyć, jak mój ojciec.
- A twój ojciec jak?
- A dyć, jak ja.
- Ależ, jak cię wołają na obład?
- Mnie do miski nie trza wołać, zawsze pierwszy jestem.

To i owo!

Naśladuj mrówki, podczas życia wędrówki!
Wszak będziesz sobie dość drzemał w grobie!
Nieraz szczęście podobne jest do ulicznika,
Który w drzwi twoje zapuka, a następnie
[zmyka.

Redaktor odpowiedzialny Bronisław Antkowiak w Opolu

ANIOŁ STRÓŻ.

Węglarz z Walencyi.

Powieść przez Ks. O. Osmańskiego.

I.

W końcu piętnastego chrześcijańskiego stulecia, — właśnie w wigilię ś. Jakóba starszego który jak niesie stare podanie, z opowiadaniem wiary świętej pierwszy Apostoł zaszedł aż do Hiszpanii i tamże wielu nawróciwszy od wiary pogan, założył kościół Chrystusa, — którego ciało po śmierci męczenniczej z Jeruzalem sprowadzono i złożono, w kościele miasta Komposteli, — a na cześć którego, wdzięczni za dar wiary Hiszpanie, w całym kraju szczególną, uroczystością w dorocznej pamiętce, obchodzą dzień 25. lipca; — siedział przed swym domem położonym na jednym z przedmieść Salamanki, stolicy ze wszech miar uprzyjemnionej, hiszpańskiej prowincyi Leon, szanowny mąż Fernando d'Arias, profesor przy tamecznej sławnej wszechni. Było to jego zwyczajem, przy pogodnym niebie w cieniu rozłożystych drzew, spoczywać tu, po sumiennie dopełnionych obowiązkach powołania swego, a oddychając świeżem powietrzem, dumając nad obowiązkami wychowania młodzieży, — lub bując w przeszłości odświeżając sobie miłe sceny swej młodości. Właśnie pod tą porę przesuwiał się przed myślą jego obraz szkolnego kolegi hrabi Rordygo de Palwa, z którym połączony najszerszą przyjaźnią, zawarł wzajemny sojusz, wspierania siebie zobopólnego radą i czynem, w każdym położeniu życia teraźniejszego, a dopóki nie spodoba się najwyższemu odwołać którego z nich z widowni świata tego.

Po skończonych z chwałą naukach, rozłączyło tych dwóch wzgorowych przyjaciół dalsze powołanie: Fernando odnaczywszy się osobliwszą nauką, rozgałęzionymi wiadomościami i czystą miłością młodzieży, został profesorem przy wszechni w Salamance, ażeby nie być przeszkadzany w pracach umysłowych żył w bezżennym stanie. Hrabi zaś polecił król hiszpański ważny jakiś przedmiot na wyspie Cypru, który gdy sprawił z korzyścią narodu, wróciwszy odebrał w nadgodę komendę nad pułkiem stojącym w Toledo. — Obóm dobrze zaopatrzonem, nie podarzyła się do tąd sposobność, udowodnienia, że stara przyjaźń nie zardzewiała, że są wierni wzajemnemu zaobowiązaniu. — Nieszczęścia przecież nie trzeba szukać na tym świecie, bo ono i nieprzywołane samo się znajduje.

Właśnie umilkło brzmienie dzwonów ogłaszające jutrzejszą uroczystość; właśnie pomrok poczynął rozpościerać się po ziemi; właśnie Fernando chciał wejść do swego domku, aby oddać się spoczynkowi nocnemu, gdy stawa przed nim podróżny, prostym obszernym płaszczem odziany, widocznie śpiesznym pochodem znękany, twarz wybladła, mająca oczywiście piętna wielkiego zmartwienia, — i prosi o niebawne posłuchanie na osobności. — Wprowadzony skwapliwie do komnaty osobnej, zrzuca z siebie

płaszcz i odkrywa się przerażonemu profesorowi, hrabia Rordygo de Palma, mając na ręku swym jedynaka swego, dziecię czterolenie śpiące.

Po smutnem przywitaniu odrzekł hrabia: „Dawny wierny przyjacielu! przychodzę do ciebie jak piętowany zbrodzień! — Mój najzaciętszy nieprzyjaciel hrabia Fernando de Mendoza, prześladowuje mnie, jak najokropniej! — za jego skargą stoję na regestrze ofiar inkwizycyi — na Boga ci żaręcam, że jestem niewinnym. — Mój wierny sługa Cezario przestrzegł mnie o niebezpieczeństwie w jakim zostaje. — Przerazenie zabiło drogą moją małżonkę, której zwłoki spoczywają pod cyprysami cmentarza w Toledo. Straciwszy tę pocziwą towarzyszkę życia mego; pochwyciłem to, co mi jeszcze pozostało, oto to dziecię i spieszłą ucieczką ratuję życia mego i życia tej biednej dzieciny!“ —

Gdy zamilkł hrabia, bo żał ścisłał pierś jego: odrzekł profesor: „Przez Boga miłego! Czyż mogłabyś aby cię tak wielkie nieszczęście spotkało? — Wszakci ja ciebie znam jak męża najwierniejszego o bowiązkach wiary i powołania!“

„Nie mylisz się najmniej mój drogi przyjacielu! — Wszakże pewnie ci jest wiadoma: że między familią Palmów i Mendozów z bardzo dawnych czasów panuje zacięte nieporozumienie. Ja usiłowałem unikać wszelkich powodów odświeżenia zastarzałych niesnasek i niewiem żebym w czemkolwiek ubliżył Mendozom. — Inaczej niemogę niniejszego prześladowania skleić, jak chyba że zapewno jakiś niedziwicz, zastarzała iskierkę usty piekielnymi rozrzarzył, ażeby spanoszyć się moim majątkiem. Żyjemy wśród licznych bandytów, gdzie nie jestem bezpiecznym, muszę pierszchać, aby unieść przynajmniej życie i ten zadatek imienia palmów!“

„Przyjacielu! rzeknij w czem ci mam służyć, na wszystkie ofiary znajdziesz mnie gotowym!“

„Unieść z sobą te dziecię w tym pośpiechu z jakim ja miese nieprzystępnych nieprzyjaciółom szukać muszę, jest nie podobna! — a chociażbym i zdołał, powiedzże sam jakież mu tułacz nędzny, dać może wychowanie? Przyjm przyjacielu pod twoją opiekę syna mego; — wychowaj go w zakątku domu twego, w ukryciu przed światem, aż do czasu lepiej jak dziś przyjażącego.“

„Zaprzysięgliśmy sobie wieczną przyjaźń, i zobopólne wsparcie w smutnych położeniach, żaręcam ci, że będę wiedział wywiązać się z położonego we mnie zaufania. — Bądź pewnym: że dziecię twe tak u mnie dobrze jest zachowane, jak gdyby je strzegła i pielegnowała własna matka.“

„Przedewszystkiem wpój w ducha jego religię św. — enoty domowe i obywatelskie, — a co do ciała usiłuj rozwinąć siły jego, żeby kiedyś mężny i odważny, przy odpowiedniej zręczności i mocy, zdolen był służyć ojczyźnie; — do tego celu zmierzaj jego wychowanie. — Ale, proszę zamilcz mu jego pochodzenie, żeby дума nie skaziła umysłu jego i on zasługami osobistymi, nie zaś godnością pocho-

dzenia, dobić się zdołał szacunku i znaczenia. — Niema momentu do stracenia, śpiegi otaczają mnie ze wszystkich stron. — Oto tu skrzyneczka z klejnotami które w pośpiechu zabrałem, a tu zwitka opieczętowana. — dzień św. Jakóba, gdy dziecię dożyje szesnastego roku — a ja w ten czas już może spoczną pod mogiłą — otworzysz ten papier i oznajmisz syna mego z jego imieniem i tajemnicą jego lat dziecińczych. — Ufam twemu poczciwemu sercu i jestem już w połowie o przyszłość spokojnym!“

Uścisnęli się przyjaciele, skropiszwy wzajem łzami, a hrabia ucałowawszy chłopczyka, odezwał się: „O synu mój, jakaż smutna czeka cię przyszłość! — jakże trudno nieszczęśliwemu ojcu oderwać się od ciebie!“

(Ciąg dalszy nastąpi).



Serce matki.

Dawno temu, bardzo dawno,
Trudno nawet zliczyć lata,
Żył alchemik i czarodziej
Co znał całą mądrość świata.

Przychodzili doń książęta,
Przychodzili i królowie,
Bowiem każdy był ciekawy,
Co mu stary mędrzec powie.

Kiedy kogo spotkał smutek,
Gdy kto poniósł jaką stratę —
Wnet dobrego samotnika
Szedł odwiedzić skromną chatę.

A czarodziej rad był gościom,
Sadził ich na prostej ławie,
Wysłuchiwał skarg cierpliwie
I udzielał rad łaskawie.

I raz — było to wieczorem,
W chwili tej zmierzchovej ciszy,
Kiedy to się tyle szmerów,
Tyle słodkich dźwięków słyszy. —

— Zakołatał ktoś cichutko
Do drzwi starca — ktoś nieśmiały,
I na progu stanął nagle
Jasnowłosy chłopiec mały.

— Czego pragniesz, moje dziecię?
Czego szukasz o tej porze?
— Rada twoja, czarodzieju,
Wielkie szczęście dać mi może!

Powiała mi piastunka,
Ze w dalekim kędyś lesie
Jest skarb, wielkich pełen bogactw,
Skarb królewski — Sezam zwie się.

Wskaż mi drogę do Sezamu,
Nauczę, proszę, słów zaklęcia,
Bo chcę bardzo, ale bardzo,
Pędzić świetne życie księcia.

— Dobrze — na to rzecze starzec,
Uśmiechając się przyjaźnie;
Znam ja czary, które sprawią,
Ze zobaczysz skarb wyraźnie.

Droga doń nie taka długa,
I zaklęcie bardzo łatwe.
Sezam ten, otwarty zawsze,
Bogactwami darzy działwę.

Z temi słowy mędrzec siwy
Wziął za rączkę małą zucha,
I wiódł z sobą — gdzie? — zobaczy,
Kto bajeczki tej posłucha.

Patrz, chłopczyño, otwórz oczy,
Oto Sezam, skarb nad skarby!
Ile złota i klejnotów!
Jakie blaski!... Jakie farby!...

Chcesz mieć wszystko? Możesz zaraz
Co, nie wierzysz?... Ja nie kłamię!
Słowa zaleć bardzo proste...
Powiedz: — Otwórz się „Sesamie!“

Ledwie chłopiec rzekł te słowa,
Nagle oczom swym nie wierzy!
Jest w swej chacie... Główka jego
Na mateczynej piersi leży.

A do ucha ktoś mu szepce:
— Chciałeś skarbów? Masz je dziecię
Serce matki twej, to Sezam,
Najbogatszy w całym świecie.



ZARCIKI.

Świątek zwierząt.

Pewien osioł nazwał konia osłem, myśląc, że koń się oburzy. Z radości że niby mu tak dokuczył, zaczął skakać, kwiczeć i ogonem wymachiwać. Lecz koń raz tylko spojrział nań, uśmiechnął się szyderczo pół, a pół litośnie, mówiąc sam do siebie:

— Biedaczek! Chce zapewne, bym go nawzajem nazwał koniem.

Biedaczysko.

— Coś taki smutny, Janku?

— Bom się najadł.

— Więc cóż z tego?

— Straciłem apetyt do jedzenia, a przysłówie powiada, że jak się je, apetyt przychodzi. U mnie przeciwnie, jadłem i znikł mi zupełnie.

Nasze dzieci.

— Dlaczegoś mi nie mówił, Jasiu, żeś był w szkole karany?

— Bo, proszę mamusi, ojculek często powtarza: „Kobiety nie powinny o wszystkim wiedzieć“.